

Fragment 1

Tłumaczenie: Bartosz Czartoryski

Rollan wiercił się w hamaku, bezskutecznie próbując przywołać sen. Szorstki jutowy materiał śmierział, ale lepsze to niż leżenie na gołych, podmokłych deskach w towarzystwie szczurów, które chętnie podgryzały wystające palce albo odkryte uszy.

Zagracony areszt miał tylko jedno okno. Do tego było ono zamknięte i znajdowało się na drugim końcu korytarza, dlatego wentylacja pozostawiała sporo do życzenia. Powietrze zalatywało stęchlizną i wyraźnie był to efekt wielu dni, jakie ta łajba spędziła na morzu. Stary drewniany kadłub szkunera zajętego przez Przysięgłych jęczał pod spienionymi falami. Wokół dało się słyszeć syk, trzask i krzyk.

– Znowu się zaczyna – powiedział Conor.

Rollan niechętnie otworzył oczy. Łypiąc spod przymrużonych powiek, przyzwyczajał się do panującego pod pokładem mroku, aż zobaczył swoich przyjaciół. Conor stał przygarbiony przy prętach celi, ramiona zwiesił na drugą stronę pordzewiałych krat. Przechylił głowę i nasłuchiwał. Skrzywił się, słysząc kolejny krzyk. Rollan wytoczył się z hamaka i przeszedł obok Abeke, którą obudził dochodzący z góry hałas.

Dziewczyna zazgrzytała zębami.

– To Kordelia – oznajmiła. – Kordelia Życzliwa.

Meilin dołączyła do Conora przy kratkach i wzdygnęła się na trzeci krzyk, głośniejszy i jeszcze bardziej przeszywający niż poprzednio.

– Biedny człowiek.

– Jeśli dalej będzie go męczyć, to kto stanie za sterem? – zapytał Rollan.

– Jak myślisz, co zrobił? – odparła Abeke.

Rollan wzruszył ramionami.

– Nie musiał nic robić. – Powrócił myślami do nilońskiej biblioteki w Maktapie, gdzie ich pojmano. Szukali tam Szeptacza Burz, legendarnego symbolu więzi. Mieli po swojej stronie Takodę i Xanthe, lecz zostali zdradzeni – i aresztowani – gdy udało im się odnaleźć symbol. Dwójkę ich sprzymierzeńców przykuto łańcuchami i zapakowano na statek płynący do Zielonej Przystani, a reszta ruszyła do Zhongu.

Conor spojrział na kreski, które wydrapano na ścianie. Było ich piętnaście. Rozległo się następne syknięcie, a po nim krzyk, który przeszedł w żalosne skomlenie.

Byli tu uwięzieni od piętnastu dni. Tyle czasu nasłuchiwali już złowieszczych trzasków bicia i krzyków kolejnych pechowych biedaków, których Kordelia brała na tortury wyłącznie dlatego, że mogła. Ale czemu nie ich? Mimo że nienawidziła Rollana i jego towarzyszy, nie zdecydowała się dać upustu swojemu okrucieństwu i nie wymierzyła im chłosty. Lecz prędzej czy później zapewne znudzą jej się przypadkowi marynarze... A wtedy zejdzie tutaj i zajmie się jeńcami.

Chyba że nie zacznie od nich.

Męczące tygodnie na morzu nie upłynęły im w samotności. Przysięgli byli łowcami nagród, a interesy najwyraźniej szły im dobrze. Polowania na Zielone Płaszcze musiały przynosić niemałe zyski, bo troje z nich zamknięto tuż obok. Przyprawdzono ich parę dni temu i pojmani nie mieli dobrych wieści. Rollan zastukał w dzielącą ich ścianę.

– Śpisz, Kofe?

Odpowiedziało mu chrząknięcie i stuknięcie, po których rozległ się kaszel.

– Oczywiście. Czy ktoś mógłby w tej sytuacji zmrużyć oko?

– Na czym skończyliśmy? – zapytał Rollan.

Kofe zaniósł się serdecznym przeponowym śmiechem, który Rollan usłyszał przez drewnianą ścianę.

– Na najlepszym posiłku, jaki kiedykolwiek jedliśmy. Moim była wiewiórka. Upieczona na rożnie, w lasach na zachód od Zielonej Przystani.

– Nie brzmi zbyt wyjątkowo.

– Chłopcze, byłem wtedy naprawdę głodny. Siedziałem pod gołym księżycem, cicho, czyli tak, jak lubisz. Nie było wtedy na świecie nikogo poza mną i Wąchaczem.

Wąchacz obwieścił swoją obecność piśnięciem. W przeciwieństwie do pozostałych szczur czuł się pod pokładem jak w domu.

Razem z Kofe zamknięto Lady Cranston, daleką krewną Trunswicków, i Salamana z północnego Nilo. Troje Zielonych Płaszczy znało Rollana i jego przyjaciół, więc poczuli się pewniej, będąc z nimi na pokładzie, nawet jeśli byli tylko jeńcami.

– Myślisz, że złapali wszystkich? – spytał Rollan.

– A co, liczysz na ratunek? – odparł z westchnieniem Kofe. – Różnie może być. Przysięgli planowali to od dłuższego czasu. Nie złapano nas od razu tylko dlatego, że byliśmy daleko od Zielonej Przystani, na misji. I na pewno nie my jedni. Inne Zielone Płaszczce nadal gdzieś się ukrywają, ale skoro pojmano Olvana i Lenori, nie wygląda to dobrze. Jesteśmy zdani na siebie.

Zdani na siebie. Rollan zdążył do tego przywyknąć.

Czy aby nie miało być inaczej? Był Zielonym Płaszczem. Starodawny zakon mógł się pochwalić licznymi sojusznikami rozszanymi po świecie, a i tak rozbicie całej organizacji zajęło wrogom zaledwie kilka miesięcy. Najwyraźniej zakon gnił od środka. Przebranych za nich oszustom udało się przeniknąć do struktur Zielonych Płaszczki. Poznali ich tajemnice, rozgryźli słabości. Przysięgli zamordowali cesarza Zhongu na oczach grupy przyjaciół, gdy ci się odsłonili. Kiedy zadano im ten cios, Zielone Płaszczki zostały czym prędzej oskarżone i uwięzione.

Uwięzione. Tak jak teraz. Ucieczka była jednak możliwa.

Fragment 2

Tłumaczenie: Bartosz Czartoryski

Na końcu korytarza szczęknęła otwierana kłapa, niewielki kawałek pokładu i drabinkę zalała plama światła. Łzy napłynęły Rollanowi do oczu. Po raz pierwszy od kilku dni zobaczył światło dnia. Usłyszał głosy i ujrzał parę cieni przechodzących obok kłapy. Jeden z nich należał do kobiety. Rollan zacisnął pięści. Być może nadeszła ta chwila, kiedy Kordelia nareszcie po niego przyszła. Ale on nie podda się bez walki. Jedno spojrzenie na towarzyszy wystarczyło, aby chłopak się przekonał, że wszyscy pomyśleli podobnie.

Lecz do pogrążonej w półmroku ładowni nie zeszła Kordelia Życzliwa, tylko Kana.

Jeszcze niedawno mówili na nią Anka. Rollan i pozostali mieli ją za członkinię Zielonych Płaszczki, za przyjaciółkę. To wszystko okazało się jednak kłamstwem od samego początku. Tak naprawdę była kapitanem Przysięgłych, najemników, którzy uparcie podążali ich śladem. I tak jak wszyscy żołnierze tej formacji o wysokiej randze, ona również nosiła przydomek będący zaprzeczeniem jej prawdziwej natury: Kana Uczciwa. Tyle że, inaczej niż jej towarzysze, ubierała się tylko w prosty czarny mundur, nie kłopotząc się mosiężnym kołnierzem i nadgarstnikami.

Dzięki czemu wtapiała się w tłum, pomyślał z przygnębieniem Rollan.

Zdrajczyni zmarszczyła nos, wyczuwając nieprzyjemne zapachy zalegające w najgłębszych czeluściach ładowni. Zeskoczyła ze szczebelka niemalże z gracją i kopnęła szczura, który śmiał podejść i powąchać jej but. Końcem

niesionego przez siebie kija otworzyła iluminator i Rollan poczuł nagły podmuch świeżego powietrza. Ktoś podał jej z góry latarnię i Kana uniosła ją wysoko przed sobą. Gdy padł na nich blask, wszyscy podeszli do krat celi. Kana uśmiechnęła się z chłodną satysfakcją.

– Chyba zdążyliście się tutaj zadomowić.

– Zostało dla ciebie sporo miejsca – powiedział Conor. – Może wejdiesz?

Kobieta podeszła bliżej, za pomocą latarni rozpraszając mrok panujący w celi, lecz trzymała się dostatecznie daleko, żeby nie musieć się martwić o ewentualny atak.

– Podróż powoli się kończy, przed zachodem słońca przybijemy do brzegu. – Uśmiechnęła się.

– Pewna przyjaciółka nie może się doczekać tego spotkania.

Rollan sposepniał.

– Taka jak Kordelia?

– Kordelia potrafi być nieposłuszna, przyznaję – odparła. – Powinniście docenić moje starania, bo niełatwo było powstrzymać ją przed przybyciem tutaj i podzieleniem się... swoim entuzjazmem.

– Nie powstrzymałaś jej przed torturowaniem marynarzy – oznajmił Rollan.
Kana tylko wzruszyła ramionami. Najwyraźniej męka paru bezimiennych mężczyzn nie miała dla niej żadnego znaczenia. Jakim cudem wpakowali się w ten bałagan?

Fragment 3

Tłumaczenie: Bartosz Czartoryski

Conor przestał się uśmiechać. Zasepił się. Jego przyjaciel miał rację. Bo jak daleko zdołaliby uciec skuci kajdanami? Ale męczyło go już to oczekiwanie, a cierpliwość się wyczerpywała. Jego mięśnie płonęły, paląc się do działania. Do biegu. Do bójki. Aby pokazać Przysięgłym, do czego on i jego towarzysze byli naprawdę zdolni. Kana też to zauważyła, bo podeszła do niego i powiedziała:

– Nawet nie próbuj, Conor.

Chłopak uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

– Niby czego? Cieszę się świeżym powietrzem.

– Niech twoja bestia zostanie tam, gdzie jest, nie budź jej. Rozumiesz?

– Albo co?

Kobieta skinęła w stronę marynarzy stojących na pokładzie. Każdy dzierżył naciągniętą kuszę.

– Mają całkiem niezły zasięg – rzuciła Kana – i podziurawią twojego zwierzoducha.

Conor zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że strzelą do Briggana? Może któryś prędzej pośle belt Kordelii? Ona chyba nie narzeka na nadmiar przyjaciół? – zapytał.

Kana popatrzyła na niego z niezadowoleniem i osobiście sprawdziła po kolei ich kajdany. Meilin nachyliła się do chłopaka.

– My również. Próbowaliśmy nawiązywać przyjaźnie i patrz, co z tego wyszło.

Conor się skrzywił.

– To tylko pyskówka, Meilin. Zasłużyła sobie.

– Jasne, ale musimy uspić jej czujność. Gdy ją tak drażnisz, robi się nieufna i czujna. Jeśli będziemy nieco... potulniejsi, może popełni błąd, który można będzie potem wykorzystać.

– Potulniejsi? – Zaśmiał się. – W twoich ustach brzmi to jak żart.

Meilin pokiwała głową.

– Nauczyłam się tego od Jhi. Tak pielęgnuje się uśpioną siłę.

– Może być na to trochę zbyt późno. Masz już pewną reputację. Pamiętasz?

– Co to ma znaczyć? – zapytała.

Conor podejrzewał, że gdyby Meilin mogła, to pewnie skrzyżowałaby ramiona na piersi.

– Hej, to nie ja rozbijam głązy kopniakami z wysokości – powiedział. – Tego mnie kiedyś nauczysz.

– Sam potrafisz o siebie zadbać, Conor. Może nie walczysz ze zbytnią gracją, lecz efektywnie.

– Idzie mi jeszcze lepiej z Brigganem u boku. – Rozejrzał się. – Jeśli Abeke wypuściłaby

Urazę...

– Dokładnie tego spodziewa się Kana. Czeka, aż zrobimy coś głupiego.

– Czyli jakie mamy możliwości? – spytał, kopiąc po drodze kamyczki.